



Wojciech Albiński – opowiadanie z tomu „Soweto – my love”

Soweto, piątek wieczorem

Piątek, piąta. Późno, bardzo późno... Aby uniknąć utknięcia pod światłami albo na skrzyżowaniu, każdy się spieszył. Chmury kurzu przesłoniły eternitowe dachy domów, dwupas-mowe jezdnie stały się za wąskie. Złościło to właścicieli Soweto taxis i skłaniało do bardziej ryzykownej jazdy. Furgonetki wyprzedzały „na trzeciego” i wymuszały pierwszeństwo. Nikt z nimi nie dyskutował. To właśnie one najczęściej wypadły z asfaltu i opryskiwały błotem idących wzdłuż drogi. Przechodnie uciekali na pobocze, a często byli spychani do rowów.

Sfora psów próbowała przebiec przez jezdnię. Dwa się cofnęły, inne podjęły ryzyko. Słychać było, jak chude grzbiety uderzają w podwozia przejeżdżających samochodów. Na obie strony potoczyły się pokrwawione kłęбки skóry i sterczące z nich kości.

Albert i jego ekipa znaleźli się wśród opuszczających miasto. Zrobiło się późno, jednak niełatwo było zebrać statywy ze stanowisk, zapakować teodolit i poukładać w skrzyni drobne narzędzia. Ale przede wszystkim dokończyć pomiary. Fala kurzu, wyglądająca jak mgła, gęstniała i dopatrzenie się w lunecie małego punktu triangulacyjnego sprawiało coraz więcej trudności.

Naprzeciw już się rysowała fala autobusów. Soweto taxis i prywatne wozy transportujące robotników do domów ciągnęły za sobą kurz uliczny, zjeżdżały na pobocza dróg i podnosiły jasne, wirujące w powietrzu zaślony.

Znaki orientacyjne, jak Northcliff Water Tower i kilka okolicznych wzgórz, szybko stawały się niewidoczne, pozostawało więc trzymać się drogi. A wtedy wystarczył jeden błąd, by zamiast na Diepkloof Highway albo znajomej Potch Road znaleźli się w środku Soweto, na Lilas Road, Rose Avenue czy wśród monotonnie ponumerowanych 1st Street, 2nd Street, 3rd Street...

Dobrze orientujący się w geografii Soweto wiedzieli, które dzielnice są bezpieczne, wiedzieli też, o jakiej porze dnia i nocy obcy nie powinni się tu pokazywać. W piątek wieczorem na pewno lepiej jest od Soweto trzymać się z daleka.

Albert nie pragnął przygody, jaka zdarzyła mu się kilka miesięcy temu. Odłączył się wtedy od swojej ekipy i ruszył na poszukiwanie stosownego miejsca na nowy punkt triangulacyjny. Znalazł się wśród niskich domków, mijał zarośnięte i nieoznaczone płotami podwórka.

– Money – nagle usłyszał natarczywy głos. Obok niego wyrosło dwóch mężczyzn w granatowych drelichach. Ten z lewej strony przyłożył mu nóż do żeber. Albert skupił się na wyglądzie noża. Było to ostre krótkie, szerokie, owinięte w szmatę, nie wiadomo nawet, czy nie własnej roboty. Powoli odpiął guzik z przodu koszuli. Zaszleściło kilka banknotów, wręczył je właścicielowi noża. Spozstrzegł, że drugi napastnik też jest uzbrojony w nóż. Machali mu przed oczyma ostrzami.

– To wszystko, co masz? – padło pytanie.

– Wszystko...

– I nie oszukujesz nas?

Precyzyjnym cięciem otworzyli mu drugą kieszeń.

– Kłamczuszek! A to co?

Pokazał się duży banknot, a na ziemię posypało się kilka monet.

– Chciałeś nas oszukać... – zawstydzali swoją ofiarę.

Mijali długie parterowe bloki z czerwonej cegły. Były to hostele dla pracowników kopalń i zakładów przemysłowych rozsianych wzdłuż całego East and West Rand. Przed budynkami na żelaznych piecykach węglowych kobiety gotowa-



Fot. z archiwum Wojciecha Albiniego

ły *pap*. Uchylały pokrywy cynowanych garnków i mieszały ciężką białą masę drewnianymi łyżkami. Szary sos z mięsa i cebuli bulgotał w emaliowanych garnkach. Opoдал zatrzymywały się elektryczne pociągi, wylewał się z nich tłum robotników w granatowych drelachach i białych kaskach. Pracownicy kopalni złota. Kolebiąc się z boku na bok, zajeżdżały ochlapane błotem wozy – była to także stacja docelowa autobusów.

Kenneth i Banana, pracownicy Alberta, pochodzili z Zulu-landu. Obaj mieszkali na jego posiadłości położonej na północnym skraju Johannesburga. Była to dzielnica zaklasyfikowana jako „biała”. Teoretycznie nie mieli prawa tam przebywać, ale nikt formalnościami się nie kłopotał. Osiemdziesiąt metrów od domu stały budynki gospodarcze. Wieczorami dochodziły stamtąd kobiece głosy i zapachy smażonego mięsa. Kartony po piwie Chibuku fruwały poza ogrodzenie.

Jechali coraz wolniej. Albert nie chciał ryzykować kraksy, która wywołałaby zbiegowisko i dalszą stratę czasu. We wszelkich dyskusjach znalazłby się w mniejszości. Mijali coraz więcej kobiet z niemowlętami przywiązanyymi na plecach. Na środek jezdni wybiegło dwóch policjantów. Zatrzymali ruch płynący z obu kierunków. Zrobili przejście dla grupy uczniów w brązowych mundurkach. Dzieci skwapliwie skorzystały z okazji, dziękowały uśmiechami. Właśnie wyszły ze szkoły i zanosilo się na długie czekanie.

Przerwa w ruchu była za krótka, aby Albert mógł upewnić się, że jadą w dobrym kierunku.

– Zgubiliśmy się teraz? – zapytał Kennetha. – Będziemy tu nocować?... – Roześmiali się obaj. Kenneth się niespokojnie poruszył. – Znajdziemy drogę... Jak wyjedziemy za skrzyżowanie, to będzie łatwiej...

Znowu źle skręcili. Znaleźli się w dzielnicy małych ceglanych domków, dwa okna, między nimi zielone albo czarne drzwi, komin na środku dachu. Każdy domek otoczony niewielkim ogródkiem, z boku, wzdłuż jednej ze ścian, wjazd na podwórze.

Widząc niezdeterminowane manewry Alberta, trzech mężczyzn zbliżyło się do kabiny.

– Pomożemy – ofiarowali się. Wskoczyli na tył wozu. – Gdzie chcecie jechać? Do City?

Wskazali mu drogę powrotną do City; Kenneth i Banana poszeptali coś między sobą. Od pasażerów odgradzała ich gruba szyba, tamci siedzieli na okrytej brezentem platformie.

– W lewo – zastukał w szybę jeden z pasażerów. W szarym drelu niczym się nie różnił od robotników z Reef.

– Tutaj... – rzucił drugi. – Skręć w Pimville Road...

Droga wskazywana przez mężczyzn nie podobała się Albertowi. Znaleźli się wśród setek identycznych domków. W każdym już palił się ogień lub na podwórzu rozpalano ognisko pod rusztami. Miał wrażenie, że kręcą się w kółko. Te same domy, ulice, skrzyżowania. Na pewno nie posunęli się daleko. Zauważył, że Kenneth jest niespokojny, tylko Banana siedział nieporuszony.

– Czy to nie tsotsi? – Albert spytał cicho swoich robotników.

Siedzieli jak mumie, nie odpowiadali. Kenneth wytoczył kilka kropli potu na czoło.

– Prosto! – padł rozkaz z tyłu wozu. Ujechali sto metrów.

– W prawo!

Niespodziewanie kazali mu skręcić w szeroką, ledwie ubitą drogę, która prowadziła na wysypisko śmieci. Mijając wąskie uliczki i luki w zabudowie, dostrzegł peron stacji kolejowej z zatartym napisem „Pimville”. Albert ostro zahamował, a potem skręcił w kierunku głównego budynku. Ostatni odcinek gnał, nie zwracając uwagi na wyboje. Wyglądało, jakby chciał kogoś dowieźć do pociągu i bał się spóźnić. Uchylił okno od swojej strony.

– To tutaj! – krzyknął. – Dalej nie jedziemy!

Na placu, w otwartych drzwiach taksówek, siedzieli kierowcy. Ludzie wychodzili z pociągu. Kobiety nakładały ciepły *pap* na papierowe talerze. W wózku, nakryte plastikową płachtą, leżały kartony piwa Chibuku.

Trzej pasażerowie zeszli z wozu. Albert natychmiast dodał gazu, silnik zawarczał, opony rzuciły drobnym żwirem. Kiedy jechali już wzdłuż toru kolejowego w kierunku Zola Station, Albert zapytał:

– To byli tsotsi? Myślicie, że mieli broń?

– W piątek wieczorem mogli mieć broń... – przyznał Kenneth.

– Chcieli nam zabrać wóz?

Przytaknęli niechętnie.

– I na co czekaliście?

Banana miał dosyć przepytowań.

– Kiedy tobie ukradną samochód, nie zabijesz nas... – odparł.

– A kiedy tsotsi zobaczą, że ci pomagamy, to mogą się wściec... Na Soweto Highway panował zwykły piątkowy ruch.

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2012

Wydanie I

Warszawa 2012